

Na blogach parentingowych wszystko już było.



Nikt nie czyta blogów. Blogi się kończą. Na blogach parentingowych wszystko już było! – słyszę te wyświechtane frazesy od 2015 roku, w zasadzie odkąd powstała Motheratorka.

Kiedy wkraczałam w świat blogowania, topowych blogerek parentingowych było dosłownie kilka. To był świat, w którym nie mówiło się o cieniach macierzyństwa, nie pokazywało się trudnych momentów. Bloggerki pokazywały stylóweczki swoich dzieci, trochę skandynawskich wnętrz i gadżetów. Brakowało tematów trudnych i niewygodnych.

Wystarczy przeczytać wpis **Tomka Tomczyka** z, nomen omen, 2015 roku:

Dlaczego blogerki parentingowe nie poruszają tematów relacji rodzinnych, także tych trudnych? Dlaczego nigdy nie nakarmią

dziecka hamburgerem? Wódeczki nie poleją? W kocyk nie zwiną? Ok, to może zbyt skrajne przykłady, ale jako szczęśliwy ojciec wszystkich swoich nienarodzonych dzieci, nie wytworzyłem w sobie jeszcze tych instynktów, automatycznie, włączających przycisk „stop” w głowie, kiedy chcę powiedzieć coś niepoprawnego o dzieciach.

Wszystkie blogerki parentingowe żyją z przyciskiem stopu w głowie. Która się wychyli, obrywa.

Niewiele by brakowało, a byłabym do nich podobna. Kiedy napisałam **mój pierwszy wpis o depresji poporodowej**, ze strachu opublikowałam go nie u siebie, lecz u **Ani – Nieperfekcyjnej Mamy**. Mój mąż mówił mi wtedy: „Nie publikuj takich rzeczy! Odstraszysz czytelniczki zamiast je przyciągnąć!”. A wpis okazał się, jak na tamte czasy, wiralem. Jakiś czas później odważyłam się opublikować go również u siebie i już wiedziałam, że to dobry kierunek.

0 czym możecie przeczytać na blogach parentingowych?

Tematy szczepień, karmienia piersią lub butelką, porodu siłami natury lub cesarki, noszenia czapeczki, zakrywania wózka latem – chyba każda matka kiedyś w nie kliknęła. I one się będą cieszyć powodzeniem jak internet długi i szeroki, bo nowych matek przybywa, a każda z nich jest ich zła kniona. Sama poruszyłam u siebie większość.

Ale klikalne ever greeny to nie wszystko.

Staram się nie wychodzić z założenia, że pozjadałam wszystkie rozumy tylko dlatego, że mam dziecko. Nikt jeszcze nie wymyślił i nie wymyśli uniwersalnej recepty na wychowanie i macierzyństwo. I to jest chyba podstawa myślenia, jeśli nie

chcemy oszaleć w świecie blogów parentingowych. Nade wszystko potrzebny nam tu humor i dystans, bo inaczej wszyscy zginiemy. Od siebie samej zresztą ten dystans zaczynam, zwłaszcza dystans do krytyki. Bo nie każdy rozumie, że wojować to nie ze mną. Ze mną to tylko tęczę, miody i jednorożce.

Ja sama nie czytam innych blogów, a już zwłaszcza parentingowych.

Brzmi to zarozumiale i chamsko, ale powód jest zupełnie innej natury. Jest bardziej prozaiczny, niż wam się wydaje. Po pierwsze rzadko mam na to czas. I chociaż bardzo cenię sobie znajomości z dziewczynami z blogosfery i uważam, że piszą świetnie, to rzadko kiedy do nich zaglądam. Po drugie, co nie mniej ważne, boję się inspiracji i porównań. Nie chcę, nawet podświadomie, pisać tematów, które gdzieś zobaczyłam zamiast tych, które powstają w mojej głowie na podstawie codzienności.

Czy to, co ja piszę, jest inne?

Wy mi powiedzcie! Jeśli o mnie chodzi – nie sędzę. Nigdy tak nie uważałam. Zawsze gdzieś w internecie trafi się coś podobnego, co sprawi, że wcale nie będę wyjątkowa. Ale sami powiedzcie – czy nie jest tak, że często do bloga i jego mediów społecznościowych bardziej przyciąga was osobowość blogera niż jego treści?

Nieraz przywaliłam mocnym tematem jak łysy głową o betoniarce. Czasem za mocnym, potem zmieniałam zdanie, ale już nic z tym nie zrobię. Poszło w eter, trudno.

Nie było mnie tu prawie dwa lata.

Blokowała mnie myśl, że nikt nie będzie klikał w moje tematy. Nie przeczyta, nie zostawi lajka. Że spadną zasięgi, followersi odejdą, zostanę z tym sama. Że nie znajdę się w

rankingu, że nikt mnie nie doceni. Paraliżowały mnie te myśli. Aż dotarłam do momentu, że albo w jedną, albo w drugą. Albo zamykam to wszystko w cholerę, nie płacę za serwer i hosting, usuwam konta na Facebooku i Instagramie, albo pcham w ten wózek dalej. I pomogło mi tylko jedno: zaczęłam mieć w dupie, co myślą ludzie. Piszę tematy, które mi leżą, coraz częściej niezwiązane z macierzyństwem. Bo przecież w życiu nie jestem tylko matką.

Nie mogę wiecznie się zastanawiać co napiszą hejterzy, nie przewidzę każdego ich ruchu. I nie zamierzam wiecznie się przejmować, że ktoś gdzieś już kiedyś napisał to, co ja. Pewnie, że napisał. Ale nie był mną, nie myślał tak, jak ja, nie ubrał tego w takie słowa, jak ja.

Mam jedno marzenie.

Chciałabym, żeby moi czytelnicy mówili: *Fajnie, że jesteś. Ufam Ci. Dobrze, wiedzieć, że nie tylko ja tak mam!*

I chcę, żebyśmy poprawiali sobie nawzajem korony i szanowali swoje poglądy, nawet zupełnie odmienne, zamiast wbijać sobie nawzajem noże w plecy.

Cześć, nazywam się Magda Rogala. Jestem blogerką parentingową. I kocham to, co robię.

P.S. Dlatego zostaw mi pod tym wpisem lajka ☐